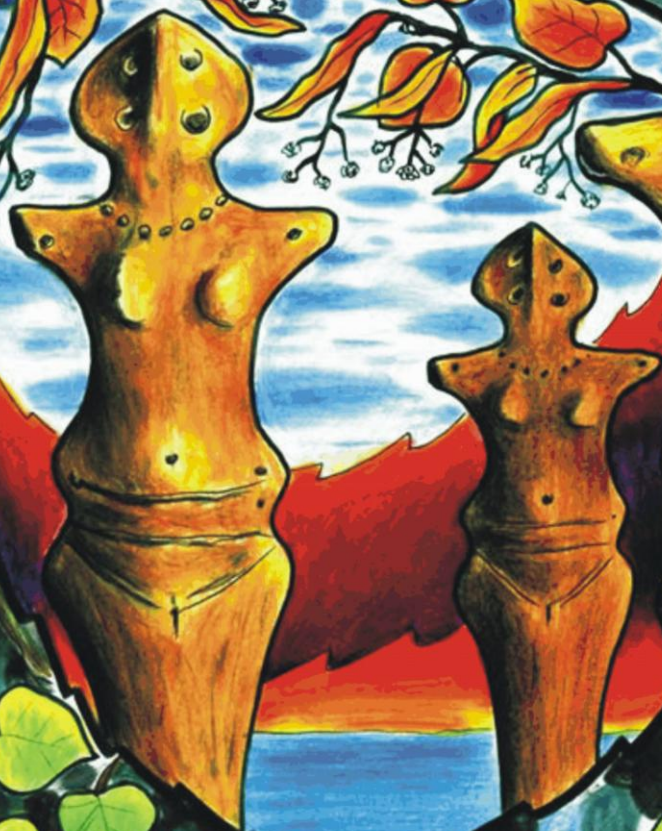


Piotr Gulak



Przysięga barda



Piotr Gulak

Przysięga barda,
czyli jak wyłgać się ze
złożonej obietnicy

© Copyright by Piotr Gulak (Self-publishing)

Rysunki: Robert Mokoszan

Projekt okładki: Krzysztof Borowy

Opracowanie: Katarzyna Król-Łęgowska

ISBN 978-83-7859-214-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody autora zabronione.

Wydanie I 2013



* * *

Na leśnej drodze pojawiło się trzech mężczyzn. Stąpali wolno, wspierając się na sękatych kijach. Raptownie przystanęli i ze zdziwieniem zaczęli przypatrywać się czemuś, co niespodziewanie pojawiło się na drodze. Teraz dopiero można było usłyszeć ich głosy, gdyż szeptali coś między sobą.

Z tego miejsca, w którym stali, wędrowcy przyglądali się niecodziennemu zjawisku. Z tej perspektywy wyglądało to tak, jakby jakaś tkanina, bądź rozwiany, smolisty kształt wirując, opadł na drzewo. Mężczyźni stali przez dłuższą chwilę, obserwując to dziwne zjawisko, gdyż wydawało im się, iż ulegli jakiemuś złudzeniu. Z oddali wisząca tkanina nie przypominała żadnego określonego kształtu. Wędrowcy stali jak zahipnotyzowani, wpatrując się w ciemny materiał, który wisząc, powiewał i unosił się na wietrze.

Jeden z mężczyzn postanowił podejść bliżej, w kierunku drzewa, aby lepiej przyjrzeć się temu niebywałemu zjawisku. Drugi poszedł w jego ślady i także ruszył w tamtą stronę. Gdy znalazł się pod drzewem, dotknął kijem wiszący na gałęzi materiał. Ku jego zdziwieniu smolista substancja zwinnie zeskoczyła z konara i zsunęła się po kiju, na jego rękę. Przez moment nic się nie działo, ale już po chwili upiorny wrzask rozdarł ciszę.

Czarny materiał zsunął się z ręki człowieka i gwałtownie uniósł się w powietrze. Wirując, zaatakował bezbronnych ludzi. Słychać było przeciągły świst, kiedy kształt opadł, dusząc obydwo mężczyzn, którzy już po chwili padli martwi na drogę. Czarna tkanina uderzyła znowu, nacierając teraz na ostatniego z mężczyzn, tego, który stał w pewnym oddaleniu. Tamten, widząc zbliżający się do niego cień, stał przerażony, z rozdziawionymi ustami. Nie mogąc złapać powietrza, wpadł w panikę, lecz już po chwili opanował się i rzucił się do ucieczki. Lecz nie miał żadnych szans, a smolisty kształt dopadł go bez żadnego problemu. Mężczyzna podzielił los swoich towarzyszy i osunął się nieżywy na ziemię.

Krucze płótno zaczęło unosić się nad jednym z martwych ludzi, poczęło drgać i falować. Zaczęło rosnąć i wypełniać się. Leżący człowiek niknął z oczu, robił się suchy, jakby był martwy od lat. Istota wyssała z niego wszystkie życiodajne soki i porzuciła wyschnięte ciało. Złowieszczy kształt podleciał teraz do następnego człowieka, tak samo zaczął drgać i jeszcze bardziej się rozrastać. To samo powtórzyło się przy trzecim z towarzyszy.

Wydawało się, że wiszący nad drogą cień, przepoczwarza się w jakieś złowrogie istnienie. Wszystko dookoła drgało i wyginało się. Po jakimś czasie drganie ustało, a kształt, który wypełnił czarne płótno, popłynął w las, spowijając szarością drzewa i krzewy. Cieniste istnienie szybko zniknęło w gęstwinie. Nie do końca uformowany kształt oddalił się w niewiadomym kierunku, poszukując z pewnością następnych ofiar.

Jeszcze tego samego dnia, idący przez las młody mężczyzna, zauważył przedziwną postać, która to znikwała, to pojawiała się na leśnej ścieżce. W pewnej odległości od niego, jakby zawisła

w powietrzu i po chwili opadła na gałąź. Zaintrygowany tym niecodziennym zjawiskiem człowiek, podszedł do drzewa i próbował schwytać ową cienistą postać, lecz ta niespodziewanie uniosła się w powietrze i zaczęła drgać. Gwałtowny, przerażający krzyk rozdarł przestrzeń, lecz już po chwili zamarł, a w puszczy zapanowała złowieszcza cisza.

* * *

Deszcz powoli przestawał padać. Jeszcze ostatnie, pojedyncze krople uderzały o liście drzew. Słońce przebijało się spomiędzy chmur, rzucając nikłe snopy światła. Tęczowy łuk pojawił się na niebie i połączył dwie części rozległego boru. Pięknem swym mamił i zachęcał, aby choć na chwilę przystanąć i podziwiać jego barwy. Zwodził. Starzy ludzie powiadali, by nie dać się oczarować tym cudem, gdyż można zostać pochwyconym i wciągniętym przez tęczę do nieba, a tam przeistoczyć się w planetnika. Młodzi zaś śmiali się z tych ostrzeżeń i wręcz przeciwnie nakłaniali, aby poszukać miejsca, w którym tęcza dotyka ziemi, gdyż tam zakopane są dzbany pełne skarbów. A niejednen z nich, twierdził, że na własne oczy widział, jak z wielobarwnych łuków zeskakiwały na ziemię małe skrzaty, gubiąc przy tym rozliczne klejnoty.

W kałużach kapały się kosi i inne mniejsze ptaki. Zachłannie korzystały z tej przyjemności. Każdy z nich próbował zagarnąć tę odrobinę wody, tylko dla siebie, więc co jakiś czas dochodziło między nimi do kłótni i przepychanek.

Wówczas, większe kosa przepędzały inne ptaki, które z jazgotem zrywały się i odlatywały, by po chwili powrócić w to samo miejsce.

W powietrzu można było wyczuć zapach powoli zbliżającej się jesieni. Drzewa gubiły już pierwsze liście, które mieniły się złotem w zieleni traw.

W borze panował błogi nastrój i rozleniwienie. Jednak coś niespodziewanie przerwało tę idyllę. Nagle w górę wzbily się małe ptaszki, krzykiem obwieszczając zbliżające się niebezpieczeństwo. Zastygły w miejscu wiewiórki, które do tej pory beztrudnie bawiły się na drodze. Wyostrzyły słuch i nosem wciągnęły jakiś obcy zapach. Po chwili nie było już po nich śladu, tylko jeszcze gdzieś na gałęziach drzew migwały ich rude ogony. Zwierzęta nie mogły się mylić – coś niewątpliwie nadciągało leśną drogą.

Pierwszy na ścieżce ukazał się przestraszony Słońcesław. Wypadł nagle zza zakrętu i widać było, że bardzo się spieszy. Gnał co tchu, wpadając prosto w kałuże i małe bajorka. Woda rozbryzgiwała się na boki. Niedaleko za nim, na drodze ukazały się trzy postacie. W oddali można było dostrzec dwóch, dobrze zbudowanych osiłków i trzeciego, z pokaźnych rozmiarów brzuchem. Wszyscy trzej mieli ogorzałe twarze i ubrani byli w brudne kitle. Gnali na zabój. Dwaj z nich uzbrojeni byli w słusznych rozmiarów pałki, a trzeci dzierżył w dłoni spory tasak. Gdy podbiegli bliżej, okazało się, że to tutejszy karczmarz i dwaj jego pomocnicy.

Bard biegł i biegł. Wydawało mu się, że ta gonitwa nigdy się nie skończy. Czuł, że zaczyna całkiem opadać z sił. Co jakiś czas odwracał się do tyłu, żeby sprawdzić, czy prześladowcy

dalej podążają jego śladem. Niestety, wciąż byli tuż za nim, prawie deptali mu po piętach.

– Zaraz się z tobą policzę, ty gnoju!!! – wrzeszczał karczmarz, z trudem łapiąc powietrze. – Szybciej. Łapcie go!!!
– popędzał pomocników.

– Zaraz będzie nasz! – krzyknął w odpowiedzi jeden z nich.

– Cholerny uwodziciel!!! – darł się dalej karczmarz.

Słowa te i rzucone wyzwiska, dopingowały barda do jeszcze szybszego biegu. Pędził jak na złamanie karku, gdyż wiedział, że stawką jest jego życie. Prześladowcy podążali za nim krok w krok. Zdawało się, że wcale nie męczy ich ta szalona gonitwa. Po jakimś czasie bard przestał oglądać się za siebie, wiedział, że karczmarz i jego pomocnicy są tuż za nim, gdyż wciąż docierały do niego coraz to nowe wyzwiska.

– Jak cię tylko dorwę... – przez chwilę słysząc było sapanie – to ci nogi... z dupy powyrywam!! Zabiję cię gdzie!!

– A spieprzaj dziadu!!! – odszczeknął mu w końcu bard, nie oglądając się za siebie.

Tymi słowami jeszcze bardziej rozsierdził goniących go ludzi.

– Słyszeliście!? Ty żaloszna poecino. Nie daruję! Nie daruję temu... gołodupcowi! No, łapcie go, do cholery!!!

Słońcesław już zaczynał żałować, że jeszcze bardziej zeżłościł goniących go ludzi. Sytuacja zaczynała być naprawdę niewesoła. – Trzeba jak najszybciej umknąć gdzieś w krzaki – myślał gorączkowo. – Nie mam już siły. Zaraz mnie dopadną.

Dystans pomiędzy nimi zmniejszał się coraz bardziej i to na niekorzyść barda. Tamci widocznie to zauważyli, bo przyspieszyli. Bard był coraz bardziej zmęczony i wyczerpany, już nie taki pewny swej ucieczki, jak jeszcze przed chwilą. Teraz już nie drwił z prześladowców, tylko co jakiś czas odwracał głowę i spoglądał za siebie niepewnym wzrokiem. Co chwilę wpadał w kałuże, których pełno było na drodze, gubił oddech.

Nie zastanawiając się już dłużej, tuż za zakrętem wskoczył w pobliskie chaszczę, kryjąc się za pniami rosnących tu brzózek i niewielkich rozłożystych krzewów. Przeszła mu ochota na wszelkie żarty i wygłupy. W duchu liczył na jakieś zrządzenie losu, cud lub czyjąś pomoc. Oparł się rękami o kolana, zgiął się w pół, nie mogąc złapać oddechu. Gdy w końcu trochę odsapnął, ukradkiem wychylił głowę zza drzewa. Ujrzał niedaleko, bo zaledwie parę kroków od miejsca, w którym stał, jak zza zakrętu wybiegło trzech spienionych, jak wierzchowce ludzi. Szybko schował głowę. Strach czaił się w jego oczach. – No i dograłem się w końcu – pomyślał.

Stojący na środku traktu, z tasakiem w dłoni, niewysoki i opasły karczmarz wyrzekł wściekle.

– Gdzie?... Gdzie on się podział? Do kroćset! A niech to... – rozglądając się uważnie dookoła i wreszcie zdecydował. – Musimy się rozdzielić. Ty, zobacz czy nie pobiegł gdzieś dalej – polecił pierwszemu z pomocników. – A ty, idź przeszukać pobliskie krzaki – zwrócił się do drugiego. – Ja tu zostanę na wszelki wypadek, jakby łajdak wyszedł z ukrycia. Poczekaj... zaraz się policzymy!!! – krzyknął w stronę okalającego drogę gąszczu.

Po minie karczmarza widać było, że tak łatwo nie da za wygraną i nie zrezygnuje z zemsty. Pomocnicy rozeszli się we wskazane miejsca. Teraz karczmarz został na drodze sam, bacznie obserwując każdy, najmniejszy nawet ruch.

– Ty naciągaczu. Zaraz się policzymy. Poczekaj... poczekaj tylko – mrucał pod nosem, ocierając pot z czoła.

Narastająca z każdą chwilą wściekłość wypełniała jego wnętrze, lecz na razie nie mogła znaleźć ujścia, ponieważ opasły typ z tasakiem nie dopadł jeszcze swojej ofiary. – Miarka się przebrała – myślał. – Nie pozwolę, żeby jakiś żalosny grajek i włóczęga bałamucił mi córkę. To gnojek!

Już zaczął obmyślać, co zrobi z pieśniarzem, jak go tylko dorwie. Przeróżne pomysły przychodziły mu do głowy. Już oczyma wyobraźni widział, jak grajka ze skóry obdziera i jak prosiaka nad ogniem przypieka. Uśmiechnął się do swoich myśli.

– Pożałujesz! – wrzasnął.

Dobrze, że bard nie miał pojęcia, jakie myśli kryją się w głowie stojącego nieopodal człowieka, bo wiałby stąd czym prędzej. Lecz na razie stał wtulony w drzewo, bojąc się poruszyć, by tym nie zdradzić miejsca swej kryjówki. Różne myśli nim targały, ale o poddaniu się nawet nie myślał. Nie był głupi i dobrze wiedział, że kara go nie ominie. Widział to po wścieklej minie i nabiegłych krwią, małych oczkach karczmarza. Wolał dalej czekać i liczyć, jak to miał w swoim zwyczaju, na jakies zdarzenie, które być może wybawi go z opresji.

Zaczynało zmierzchać. Robiło się coraz zimniej. Pomocnicy dalej przeczesywali okolicę, ale na razie bez rezultatu. Co jakiś czas nawoływali się nawzajem i dawali sobie różne instrukcje.

Bard cały zdrętwiał, stojąc w niewygodnej pozycji. Bał się jednak poruszyć. – Muszę coś zrobić i to natychmiast. Jak wrócą tamci dwaj, to nie mam już żadnych szans na ucieczkę – myślał gorączkowo.

– Wyłaż szelmo!! – karczmarz zaczynał się coraz bardziej niecierpliwić.

Bard ani drgnął.

– Wyłaż zaraz psi synu, bo jak cię sam znajdę, to... – dobrze, że bard nie widział znaczącego ruchu wokół szyi, jaki zrobił tasakiem karczmarz. Pewnie od razu umarłby ze strachu.

Słońcesław bił się z myślami. Był na siebie zły. – Znowu wpakowałem się w kłopoty – myślał. – I po co mi to było? Nie trzeba było wchodzić do tej karczmy, durniu – gadał w myślach, sam do siebie. – Faktycznie, był już wieczór, byłem głodny, mokry i wycieńczony. A widok buchającego z przydrożnej oberży dymu, od razu humor mi poprawił. Gdybym wiedział, jak to się skończy, to darowałbym sobie... Co mnie podkusiło? Jakie lichy podszeptało mi do ucha, ten głupi pomysł? Nie trzeba było tyle żreć, nie mając grosza przy duszy, idioto! A jak już wlałeś do tej oberży, to trzeba było zjeść i uciekać, a nie siedzieć tam, aż trzy dni. Trzy dni! Trzy dni! No, gdzie ja miałem rozum. I jeszcze ta nieszczęsna historia z córką karczmarza. Po co mamilem ją pięknymi słówkami? Ale muszę przyznać, że szło mi całkiem nieźle – uśmiechnął się do siebie pod wąsem. – Naiwne, głupiutkie dziewczątko. Moje słówka szybko znalazły posłuch w tym młodym, nieznanym jeszcze życia istnieniu. Dobrze, że w porę opamiętałem się i uciekłem. Już po tygodniu nie pamiętałem nawet jej imienia. Cóż, takie

życie. Przynajmniej najadłem się do syta i wyspałem, jak nigdy na piersi młodej karczmarczki.

Gdyby karczmarz wiedział, jakie myśli chodzą po głowie barda, wściekłby się pewnie jeszcze bardziej. Jego serce pełne było żalu i chęci zemsty za krzywdę swego jedyne dziecko.

– Moje biedne dziecko, moja córeczka. Ale ją ten bawidamek oszukał, wykorzystał. Mój kwiatuszek... Otworzyła swoje niewinne serduszko przed cwany grajkiem. Zbalałmucił mi jedyne dziecko. Siedzi teraz i oczy sobie za nim wyplakuje, moja kruszynka. Naobiecował jej wiele, a potem uciekł. To tchórz i niegodziwiec jakich mało. Ale los po raz drugi postawił go na mojej drodze i teraz już mi się nie wymknie.

Bard chyba nie bardzo zdawał sobie sprawę z krzywdy, jaką wyrządził biednej dziewczynie. Córka karczmarza – Miłka, wyplakiwała sobie za nim oczy. Była bardzo smutna i rozżalona. Płakała przez wiele dni i nocy. Jednak z czasem zabrakło w niej łez i zacięła się w sobie.

Dzisiaj, jak każdego dnia, siedziała przygnębiona i patrzyła na drogę. Myślała, że może grajek kiedyś jeszcze do niej wróci. Czekwała na niego cierpliwie każdego dnia, co jakiś czas patrząc z utęsknieniem w kierunku traktu. Lecz dzisiaj dotarło do niej bardzo wyraźnie, że jej nadzieje są złudne. Zrobiło się jej jeszcze bardziej przykro.

Wtem podmuch wiatru otworzył drewniane okiennice i wpadł do środka, hulając po całej izbie. Lecz ona wcale nie zwracała uwagi na te niewinne psoty. Nagle zbudziła się z tego odrętwienia, a przez jej głowę przebiegła myśl. – Bard już nigdy do mnie nie wróci. Już nigdy... Poczuli się oszukana i skrzywdzona. Zaczęła narastać w niej złość. Podeszła do okna i

krzyknęła w stronę zachodzącego słońca, słowa pełne goryczy i tłumionego żalu.

– Słońce moje ukochane! Słoneczko jedyne! Wysłuchaj ty mojej skargi i wlej ostatnim promieniem otuchę i nadzieję w smutne, dziewczęce serce! Skrzywdziłeś mnie bardziej. Złamałeś mi serce. Niech ktoś kiedyś złamie i twoje – te słowa wyszeptane przez zranioną dziewczynę, zabrzmiały niczym kłątwa. Wiatr pochwycił ów żal i powiał go daleko w las.

Słońcesław dalej stał za drzewem. Był cały odrętwiały. Zaczynało już zmierzchać i pierwsze gwiazdy pojawiały się na niebie. Wnet i odezwały się w ciemnościach głosy, które nie wróżyły niczego dobrego. Bard trochę wystraszył się tych nieuchronnie nadciągających ciemności. Stał jednak dalej za drzewem i bił się z myślami. – Co tu zrobić? E tam... Ci idioci, tak się wydzierają, że może zaraz ściągną na siebie jakieś nieszczęście. Może coś wyjdzie z tego ciemnego lasu i ich pożre. I wtedy wreszcie skończą się wszystkie moje problemy – tu drwiący uśmiezek pojawił się na jego twarzy. Nie bał się już niczego. Na nowo zaczął wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę, która nigdy go nie opuściła i zawsze z opresji umiała wybawić.

Gdzieś z głębi puszczy powiał zimny wiatr. Musnął barda, pozostawiając w jego sercu jakiś dziwny smutek. Potem zawiął raz jeszcze, żałośnie zawodząc. Brzmiało to tak, jakby wiatr przyniósł gdzieś z oddali czyjąś skargę i skrywany żal. Słońcesław poczuł niepokój. Ale szybko przestał o tym myśleć, bo na jego nieszczęście pomocnicy karczmarza powrócili i stali teraz na drodze nieopodal niego. Szansa na ucieczkę była teraz znikoma. Słońcesława oblały zimne poty, od których zaczął dygotać. Oddech mu zamarł, zgął się w pół, zrobiło mu się słabo. Na pewno by upadł, gdyby nie drzewo, o które był oparty. Zaraz też opuściła go nadzieja i wiara, że jego

prześladowcy w końcu sobie pójdą. Wiatr poruszył liśćmi blisko miejsca, w którym stał poeta, jakby umyślnie zdradzając jego kryjówkę. Karczmarz i pomocnicy posłyszawszy jakiś szelest, zaśmiali się tylko. Już byli pewni, że mają w garści grajka i szybko zakończą całą sprawę. Pacholkiwie odwrócili się w kierunku, skąd dochodził szelest. Uradowani byli wielce, że nie będą musieli dłużej wystawiać się na niebezpieczeństwa nocy. Skoczyli w gęstwinę, by wyciągnąć z niej upragnioną zdobycz.

Bard w tej samej chwili, wyskoczył niczym strzała w gąszcze, myśląc, że skryją go i ułatwią mu ucieczkę. Daleko jednak nie odbiegł, gdyż niepotrzebnie odwrócił głowę, patrząc, gdzie są jego prześladowcy i zaczepił portkami o rosnące w tym miejscu ostrężyny. Przez chwilę próbował się wyswobodzić z tej pułapki, w końcu szarpnął się mocniej i runął jak długi w zarośla.

– Haahhaa! – zaśmiali się pomocnicy. Tęgi karczmarz fuknął na nich, by się pospieszyli i przyprowadzili grajka.

– Bierzcie go! Trzeba się jak najszybciej stąd zbierać. Ciemności spowiły już puszcę. Kto wie, co może na nas wyleźć z mroku.

Karczmarz miał rację. Nigdy nie wiadomo było, co może spotkać zagubionych w nocy wędrowców, daleko od ludzkich osad, od bezpiecznego ognia. Przeznaczenie wisiało nad każdym, nieuchronnie wypełniając jego los.

Ciemna jak mrok postać, niczym skrzydlaty stwór, opadła bezgłośnie na ziemię. Postać szybko poruszała się, rzucając długi i groźny cień. Cicho i bezszelestnie podeszła do dwóch rechoczących jeszcze nie tak dawno ludzi, którzy ciągnęli po

ziemi nieprzytomnego barda. Za plecami idących dało się słyszeć jakiś dźwięk, coś jakby głos. Chociaż bardziej przypominało to szum drzew. Trzy osoby nagle drgnęły. Z niepokojem zaczęły rozglądać się wokół, w poszukiwaniu istoty, która mogłaby wydać ów dźwięk.

Cienista postać wyrosła niespodziewanie, jakby spod ziemi. Nagle stanęła tuż przed nimi. Ludzie popatrzyli na siebie niespokojnym wzrokiem. Dłuższą chwilę stali, nic nie mówiąc. W końcu, to cień przemówił.

– Zostawcie go!

Dwóch pomocników cofnęło się. Jednak karczmarz był nieugięty.

– Wynoś się stąd! To nie twoja sprawa!

– Uważaj człowieku, do kogo mówisz – wysyczał cień.

– Nic do ciebie nie mam – powiedział, już łagodniej karczmarz.

– Puść go! – rozkazał ponownie cień.

– Mam z nim rachunki do wyrównania. Córkę mi zbałamucił – odparł ponownie karczmarz.

– Puść go! – powtórzyła, głucha na te argumenty, cienista istota.

– Brać go! – rozkazał swym pomocnikom grubas. Ci wahali się przez chwilę, po czym rzucili się w kierunku przybysza. Osilki nie zdążyły jeszcze unieść pał, gdy nieznajomy w jednej chwili znalazł się po drugiej stronie traktu. Wydawało się, choć nikt tego dokładnie nie widział, bo była ciemna noc, że osobnik

ten jakby leciał w powietrzu. Szybkość jego była zadziwiająca. Pomocnicy karczmarza z przekleństwami na ustach i gotowymi do zadania ciosu pałami, podbiegli w jego kierunku. Nieznajomy jednym ruchem ręki, odrzucił dwóch pacholków na sporą odległość. Ci, niczym piórka, przelecieli w powietrzu i runęli w pobliskie zarośla. Karczmarz na chwilę zastygł z wyciągniętym przed siebie tasakiem. Stał i z niedowierzaniem przyglądał się całemu zajściu. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Warknął w sobie tylko zrozumiałym języku i rzucił się z wściekłością na dziwnego przybysza. Błysnęły gwiazdy w nagim ostrzu tasaka, niczym złowrogie ślepie. Obcy stał jednak dalej w tym samym miejscu, nic sobie nie robiąc z ataku karczmarza, który zamachnął się i przeszył go ostrzem. Chlusnęła krew, szerokim strumieniem, tryskając na napastnika. Lecz przybysz nawet się nie zachwiał i dalej stał nieporuszony w tym samym miejscu. Tylko przesywający i rozdzierający ciszę nocy śmiech, poniósł się z jego gardła. Coś złowrogo odpowiedziało mu z głębi boru.

Karczmarz nagle zamarł, stał zastygły i bez ruchu. Wyglądał, jakby był zahipnotyzowany, jakby mu ktoś odebrał władzę nad jego ciałem. Cienista istota wyciągnęła z jego ręki tasak i zaczęła go spokojnie i powoli oglądać. W końcu donośnie zagwizdała i z podziwem popatrzyła na wielkich rozmiarów ostrze. Po chwili cienista istota odrzuciła tasak, a karczmarz ze zgrozą uświadomił sobie, że po krwawiącej ranie nie było już żadnego śladu. Nieznajomy uniósł się w górę i zawisł w powietrzu. Pomocnicy, wcześniej odrzuceni potężną siłą w pobliskie krzaki, zdołali się już pozbierać i teraz czołgali się w kierunku drogi, aby trzymając się jej obrzeża, dotrzeć z powrotem do osady. Kątem oka dostrzegli wiszącą w powietrzu postać i uświadomili sobie, że istota widzi ich poczynania. Cień wyciągnął w ich kierunku rękę i w jednej chwili zastygł, nie

mogąc się poruszyć. Pachołkowie zamarli. Karczmarz także siłował się z jakąś niewidzialną, potężną mocą, próbując się poruszyć. Zaczął mrugać oczyma i nieznacznie potrząsać łbem, jakby chciał przegonić upiorną marę. Ale nie odniosło to żadnego rezultatu, postać śmiała się na głos i szydziła z tych karkołomnych wysiłków. Ludzi ogarnął paniczny strach i po chwili zaczęli wrzeszczeć i rozdzierająco szlochać. Stwór przestał chichotać i opadł w końcu na ziemię, swymi oczyma nadal paraliżując zuchwalców, którzy poważyli się podnieść na niego rękę. Teraz nieznajomy podszedł do leżącego przy drodze barda i dotknął go. Z widocznym uśmiechem na ustach, zwrócił się do sparaliżowanych i nieźle wystraszonych niedawnych chojraków.

– Teraz jesteście w mojej mocy! – krzyknął.

Jakiś czas ludzie stali jak zahipnotyzowani. Czuli paraliżujący strach. Nagle istota wymówiła w jakimś nieznanym języku parę słów, brzmiało to niczym zaklęcie. Czar prysł. Od razu wykorzystano to dwóch pachołków, którzy rzucili się do ucieczki. Zaraz za nimi nie ociągając się, pospieszył karczmarz.

Wydłużony cień podpełzł od tyłu do budzącego się ze snów barda. Słońcesław po chwili stanął na nogi i zaczął się rozglądać za swoimi niedawnymi oprawcami. Nie widząc jednak nikogo, wyrzekł ze strachem w głosie.

– Co się stało?

Nikt jednak nie odpowiedział na zadane pytanie, gdzieś wysoko tylko stary konar zaskrzypiał, jakby chciał przedrzeźnić barda. Z ciemnego boru powiał zimny wiatr, mrugnęły tajemniczo gwiazdy, a skryta w mroku istota nagle wyłoniła się. Wysoka jej sylwetka górowała nad bardem, twarz istoty była

niewidoczna, ale spod kaptura błyskały złowrogo iskrzące się oczy.

– Zostaw mnie... – zawołał wystraszony bard.

Zaświeciły się straszliwym blaskiem oczy nieznajomego. Aż Słońcesław cofnął się do tyłu dwa kroki i na ziemię runął. Ale podniósł się szybko. W tej ciszy przerażenie coraz bardziej ścisnęło go za gardło, więc dla dodania sobie animuszu, zapytał drżącym głosem, bacznie przyglądając się tajemniczemu osobnikowi.

– Ktoś ty? – spytał, ale odpowiedziała mu tylko cisza. – Jak cię zwą wędrowcze? – spróbował raz jeszcze, nawiązać kontakt z tajemniczą istotą.

– Mam wiele imion i nazw – przemówiła, nie nawykłym do mówienia, chrypliwym głosem istota. – Ale tutaj zwą mnie Małopij.

– Wcale mi na takiego nie wyglądasz – powiedział poeta, drżącym jeszcze głosem.

– Nie ja sobie wybrałem to miano – stwór nie zrozumiał dowcipu.

– A mnie zwą Słońcesław – w końcu przedstawił się i bard.

Wydawało się, że istota nie chce wyrządzić mu żadnej krzywdy. Wprawdzie nie wiedział, dlaczego go oszczędziła, ale wyraźnie mu ulżyło. Miał dosyć przygód jak na jeden dzień. Po jakimś czasie nawet sympatyczny wydał mu się ów dziwny, błądy i tajemniczy wędrowiec. Zdawało mu się, choć nie był wcale tego pewien, iż gdzieś go już wcześniej spotkał. Lecz za nic nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy wcześniej go

widział. Po dłuższym czasie rozmawiał ze stworem, jakby się znali od dawna. Nie wiadomo, o czym tak serdecznie dyskutowali i być może już nigdy się tego nie dowiemy, gdyż szum liści, z którymi tańczył wiatr, zagłuszył ich rozmowę. Z głębi boru przypatrywały się im rozliczne istnienia. Czujnie obserwowały każdy ruch dwóch osobników. Po jakimś czasie odprowadziły wzrokiem dwie powoli w mroku znikające sylwetki.

Gdy Małopij wraz bardem odchodzili ciemną ścieżką, deszcz znów zaczął padać.